Rocznik II, Nr 15 (38) 1 sierpnia 1903.

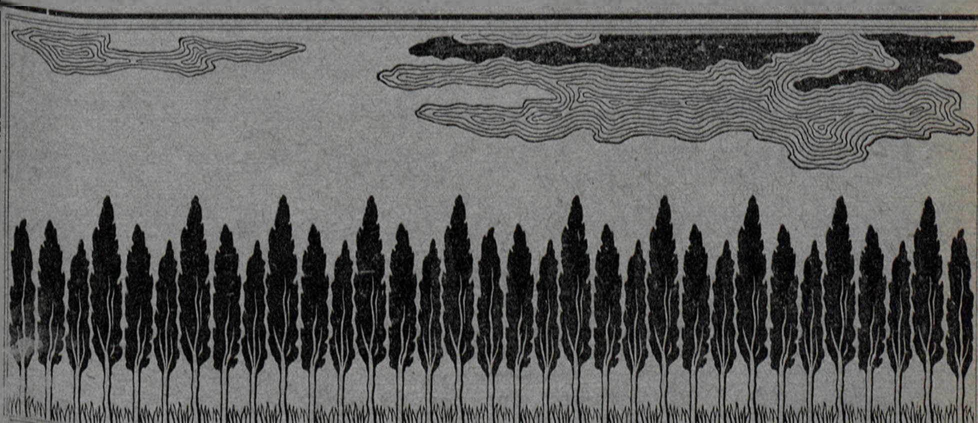
GŁÓWNY SKŁAD NA WARSZAWĘ: KSIĘGARNIA M. ARCTA NOWY ŚWIAT 53

NOWE SŁOWO

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

REDAKCYA I ADMINISTRACYA
KRAKÓW UL. SZEWSKA L. 21

PRENUMERATA WYNOSI KWARTALNIE: 3 KORONY, 3 FR. 50 CENT., 3 MARKI, 1 RUBEL 50 KOP.



TREŚĆ:

Kaethe Schirmacher: Praca kobiet i ochrona robocza. — *Edward Carperter:* Małżeństwo, rzut oka na przyszłość. — Kronika. — *Włodzimierz Perzyński:* Nad ranem. — *Ludwik Eminowicz:* Poezya. — *Rudyard Kipling:* Wyludzane wiadomości. — *St. Lack:* O doktrynerach.

PRACA KOBIET I OCHRONA ROBOCZA.

I.

Od czasów najdawniejszych pracowała kobieta tyle co mężczyzna, a nawet i więcej.

Kobieta, skazana na dźwiganie ciężaru przekleństwa rzuconego na Ewę, musiała jeszcze wziąć na się cząstkę przekleństwa rzuconego na Adama.

Olbrzymia większość kobiet, matek bolesnych, musiała jeszcze nadto pracować w pocie czoła.

Nigdy jednak nie dała im ta praca podwójna wolności. Owszem, praca ta z napływem wieków mocniej jeszcze spoiła ogniwa ich kajdan. A gdy porównać z ogromem wysiłku, z ciężkimi obowiązkami spełnionymi, mierne wynagrodzenie, owe nieliczne prawa, jakie w zamian otrzymały, naówczas cisną się mimowoli na usta słowa Micheleta: „Robotnica? Słowo bezbożne i plugawe". Istotnie bezbożnem i plugawem było przez długi ciąg wieków wyzyskiwanie zdolności roboczej kobiet, zarówno w obrębie rodziny jak na zewnątrz.

I niechaj nikt nie zarzuci, jakoby dola wielu kobiet była rozkoszna, a szczególnie, jakoby nią była t e r a z.

Są to kobiety uprzywilejowane, a zresztą jest ich bardzo mało. Przeciętnej zaś miary życia kobiecego nie trzeba brać z życia kobiet zamożnych lub bogatych.

Jak mogło się stać, że praca, która daje wolność mężczyźnie, zwiększyła, a może nawet wprost spowodowała, niewolę kobiety?

Musimy przedewszystkiem zauważyć, że przez czas bardzo długi praca posłużyła również do tego, żeby bardzo znaczną ilość mężczyzn albo zamienić na niewolników, albo ich też w tym stanie utrzymać. Atoli już ta okoliczność, że to byli mężczyźni, więc ludzie tej samej płci, co ich panowie, nadała tej sprawie inny charakter. Owa bowiem płeć, która prawa stanowiła, przyznawała wszystkim ludziom tej samej płci bez wyjątku wyższość prawną nad kobietą, i zastrzegła sobie wyłączne korzystanie z praw po-

litycznych. Skutkiem tego ci nawet z pośród mężczyzn, którzy, dawniej tak samo jak kobiety, byli niewolnikami pracy, mogli stopniowo zmniejszać swoją niewolę i korzystać raz mniej, raz więcej z wolności, która w początkach była przywilejem ograniczonej bardzo ilości mężczyzn. Co zaś do kobiet, to wskutek braku tych praw nie mogły wyzwolić się politycznie, jakkolwiek wyzwoliły się roboczo, a warunki, wśród których praca ich obecnie się odbywa są jeszcze znacznie pierwotniejsze, bardziej blizkie fazy początkowej aniżeli warunki robocze mężczyzn.

Otóż faza ta początkowa nie przyznawała kobiecie ani odrobiny wolności.

W świecie ugruntowanym na przemocy ktokolwiek nie mógł zwyciężać ulegał zwycięzcom. W takiem położeniu znajdowała się większość kobiet. Tym istotom słabszym fizycznie można było narzucić wszelką pracę, — wszelki rodzaj pracy, włączając w to funkcye macierzyńskie.

Kobiety forytowane, branki wojenne, niewolnice, służebnice, oto pierwsze robotnice w znaczeniu ogólnem tego słowa. A małżonka, o ile była jaka małżonka, nie była niczem innem jeno pierwszą służebnicą.

P r a c a k o b i e t z r o d z i ł a s i ę z a t e m w n i e w o l i.

Te początki pociągnęły za sobą następstwa opłakane. U plemion dzikich lub u ludów, posiadających dopiero zaczątki cywilizacyi, nakładano na kobietę, która ciągle żyła na powietrzu i cieszyła się większą siłą mięśni, prócz funkcyj macierzyńskich i gospodarczych najgrubsze, najuciążliwsze roboty, takie, które dzisiaj noszą nazwę r o b ó t m ę s k i c h.

Mężczyzna bowiem zastrzegł dla siebie inną dziedzinę, myśliwstwo, rybołostwo i wojnę, pracę więc, która wymagała jeżeli już nie więcej siły muskularnej, to w każdym razie innego rodzaju siły, a przedewszystkiem wprawy.

A skoro to pan właśnie oddaje się tym zajęciom, które swobodnie obrał, więc zajęcia te otrzymują cechę z a j ę ć s z l a c h e t n y c h, a zajęcia kobiet, najbardziej nawet żmudne, niezbędne i wydajne, spadają do rzędu robocizn, roboty podłej wykonywanej przez anima vilis, którą jej narzucono.

Nie więcej korzyści odniosła kobieta cywilizowana dawniejsza ze swojej pracy fizycznej i duchowej.

Kiedy razem z nieokrzesaniem traci również wielką część swej dawnej siły fizycznej i kiedy wyodrębnienie fizyczne płci silniej się zaznacza, wówczas wytykają jej, jako oznakę upadku, brak właściwości, których nigdy przedtem nie poczytywano jej za cnotę.

Kobieta staje się p ł c i ą s ł a b ą, którą się zamyka, której się strzeże i pilnuje i której niewolę ujmuje się w normy prawne bez skrupułów żadnych, tem mniej, że pierwotni i starożytni ani nie byli dość przenikliwi ani dość sprawiedliwi, iżby módz dostrzedz społeczne znaczenie głównych właściwości kobiecych: łagodności, cierpliwości, czujności i miłości.

W ich oczach były to, jeżeli tak można się wyrazić, raczej właściwości niewolnicze.

Kobiety mogły dawać życie, i stwarzać wartości etyczne, w oczach mężczyzn była to praca mało poważna.

Niszczyć i zabijać, oto, czego było potrzeba, żeby wymusić uważanie i szacunek na równi z mężczyzną.

Oczywiście wśród takich warunków kobieta nawet marzyć nie mogła o niezawisłości ekonomicznej przez pracę.

Ponieważ wszystkie robotnice tej epoki, produkujące lub rozdzielające wytwory, należały w ten lub inny sposób do mężczyzny, i podlegały wszystkie władzy ojca, małżonka, zwycięzcy lub pana jakiegokolwiek, więc chociaż istniało już wynagrodzenie pieniężne, to przecież nigdy nie pomyślano o takiem bezpośredniem wynagrodzeniu pracy kobiet; jakąkolwiekby zresztą była stopa oceny. W zamian za wszystko dawano im utrzymanie, ilekroć zaś praca przynosiła zysk, było rzeczą naturalną, że zabierał go na wyłączną własność pan.

A zatem praca fizyczna i duchowa ani nie wzbogaciła kobiet ani ich nie wyzwoliła.

Muskularna robotnica czasów pierwotnych uchodziła za podłą, gospodyni wieków ucywilizowanych uchodzi za słabą, nie dziw wobec tego, że przeszłość nigdy nie chciała uznać równorzędności zasług oddawanych społeczeństwu przez mężczyznę i przez kobietę; toteż ocena ekonomiczna pracy kobiecej na tym samym niskim pozostała stopniu co ocena społeczna.

Rozwój nowoczesny częściowo tylko zdołał zmienić ten stan rzeczy. Tu i ówdzie dokonało się za jego sprawą zbliżenie się mężczyzny i kobiety w pracy. Za jego też sprawą podniosła się robotnica o kilka szczebli na drabinie społecznej i otrzymała kilka korzyści i praw, jakich domagać się mogła. Lecz niesprawiedliwość rdzenna, którą zaznaczyłam, istnieje ciągle, dawny osad bezprawia nie zatracił się wcale. Równowartość zupełna pracy męskiej i pracy kobiecej ma się dopiero ustalić w przyszłości, tam zaś, gdzie ją przyjmują teoretycznie, trzeba jej ochrony praktycznych sankcyj, prawnych, politycznych i społecznych.

Przypatrzmy się kobietom nowożytnym, pracującym w domu: oddają rodzinie swe siły fizyczne intelektualne i moralne, narażają swe życie dla dzieci, kształcą umysły przyszłych pokoleń, urabiają charaktery i w ten sposób tworzą przyszłość ludów.

Otóż niema ani jednej, którejby ta praca całego życia dała niezależność społeczną i ekonomiczną mężczyzny.

Ta istota, która nieustannie tworzy, rozdziela i przechowuje wytwory, która ochoczo wywiązuje się z różnorodnych robót codziennych, często niewdzięcznych i nudnych, ta gospodyni, matka, ta pracownica par excellence, nie posiada wolności.

Nigdy nie może rozporządzać swobodnie swoją osobą, ani też wykonywać żadnego nie może prawa na dzieciach. — W sprawach gminnych ustawa nie liczy się wcale z jej zdaniem.

Chcąc rozporządzić majątkiem musi zawrzeć osobny kontrakt.

Niektóre ustawodawstwa odbierają jej nawet własność zarobku i oszczędzonego grosza. Żadne nie przyznaje jej za prace domowe wynagrodzenia bezpośredniego, a to przecież jest źródłem niezależności.

Przysłowie: każdy robotnik wart swej płacy, nigdy nie miało zastosowania do kobiety w obrębie rodziny.

I czyż jeszcze za dni naszych nie można często słyszeć, że mąż pracuje za dwoje i, że „utrzymuje żonę“? — Niema większego fałszu nad ten, nikt nie może pracować za dwoje, a kobieta utrzymuje się sama. Jej praca domowa jest warunkiem koniecznym pracy zawodowej męża poza domem, kobieta sprawia pół pracy mężczyzny, to też połowa płacy jego należy się słusznie kobiecie.

Atoli świadomość powszechna i opinia publiczna nawet za naszych dni jeszcze nie uznała tego faktu zasadniczego, a przecież nie można zaprzeczyć, że istnieje. *Kaethe Schirmacher.*

EDWARD CARPERTER:

MAŁŻEŃSTWO.

RZUT OKA NA PRZYSZŁOŚĆ.

Jakie istotne zmiany w prawie i zwyczaju zaprowadzi zbiorowy duch społeczeństw, tego oczywiście w szczegółach dokładnie oznaczyć nie można. Ale, że w ogólności kierunek prądu zmierza i musi zmierzać do większej wolności, to oczywiste. Idealnie mówiąc, musimy przyznać, że jeżeli gdziekolwiek jakiś związek zbliża do doskonałości, to musimy mieć za podstawę zupełną swobodę; a jeżeli naturalną i wiarygodną jest rzeczą, że kochający z nadmiaru uczucia d a j e przyrzeczenia i c h c e się związać, to przecież jest rzeczą nie do pojęcia, jakim sposobem choć trochę dumny i delikatny człowiek, człowiek wogóle zdolny do uczuć głębszych, mógłby od kochającego przyrzeczeń ż ą d a ć. A że niewątpliwie we wszystkich sprawach płciowych istnieje pewna naturalna rezerwa i pewne ukrywanie, więc byłoby może najlepiej gdyby w prawdziwem małżeństwie nic nie mówić, żadnych przyrzeczeń, ani na rok, ani też na całe życie, nie dawać. Przyrzeczenia zawsze są złe, a gdy serce pełne, najbardziej przystoi mu milczenie. Ponieważ miłość tego rodzaju powolnie tylko może się rozwijać i rozpowszechnić, ponieważ wszystkie zwyczaje społeczne zmieniają się powolnie, i ponieważ częściowa zależność i niewola kobiety potrwa jeszcze sporą chwilę, więc w praktyce trzeba będzie

prawdopodobnie przez czas ten przejściowy zachować formalne układy; tylko mamy nadzieję, że te umowy wyzbędą się swego nieodwołalnego i otwartego charakteru, a raczej odpowiadać będą do pewnego stopnia potrzebie stron kontraktujących.

Umowy takie, raz zaprowadzone, mogłyby oczywiście zawierać najliczniejsze i w poszczególnych wypadkach najróżnorodniejsze postanowienia co do praw małżeńskich, czasu trwania, warunków rozwiązania, podziału dóbr, odpowiedzialności względem dzieci i praw do nich itd. W niektórych wypadkach mogłyby one wyprzedzić późniejszy trwały związek; w innych wypadkach mogłyby przewidzieć środki rozwiązania małżeństwa, gdyby się okazało niemożliwem, i w ten sposób ominiętoby ohydne skandale obecnych procesów rozwodowych. Można jednak i powiedzieć, że w naszym kraju (Anglia) opinia publiczna oświadczy się za ułatwieniem rozwodu, zamiast wprowadzać nowy system umów; bo skoro rozwód — przy odpowiedniem zaopatrzaniu dzieci — zależy wyłącznie od wzajemnego przyzwolenia, to cała sprawa kończyłaby się na zawiadomieniu władz i ominięciu skandalu procesowego. W każdym atoli razie sądzę, że o ile umowy małżeńskie zachowają się przy życiu, coraz bardziej będą sprawą prywatnego porozumienia, o ile idzie o stosunki obojga małżonków; i tak też prawdopodobnie będzie w miarę, jak kobiety będą wolniejsze i tem samem zdolniejsze do zrozumienia swych praw i do samodzielnego działania. W każdym choćby napół przyzwoitym porządku społecznym musi być nieznośnem to wkraczanie starej katarynki prawnej w delikatne sprawy pożycia małżeńskiego. Stan dzisiejszy jest poprostu niedorzeczny. Z jednej strony prawo, które od niepamiętnych czasów utworzono na korzyść mężczyzn, daje mężowi barbarzyńskie prawa nad osobą swej żony; z drugiej strony tosamo prawo, chcąc dać kobiecie odszkodowanie, darzy ją krotochwilną farsą niedotrzymanych obietnic małżeńskich; a w każdym wypadku, pobłogosławiwszy raz parze małżeńskiej, zamyka się w sobie i chociażby związek jak najbardziej był chybiony i niedorzeczność jego leżała jak na dłoni, tępe to stare tworzywo patrzy z ukosa niby sowa na własne dzieło i powiada, że nie ma mocy rozwiązania szkodliwego, raz zadzierzgniętego węzła.

Jedyny punkt, który stale stanowić będzie powód wkraczania państwa, to sprawa dzieci bez względu na to, z jakiego związku pochodzą. Tu stosunek obojga małżonków przestaje być rzeczą prywatną i staje się sprawą społeczną; otóż idzie o to, aby ochronić prawa dziecka i społeczeństwa, którego ono stać się ma członkiem. Każda umowa małżeńska i każda propozycya rozwodu musiałaby zawierać zadowalniające postanowienia co do opieki i utrzymania dzieci we wszystkich okolicznościach, a dopiero wówczas otrzymałaby sakcyę władzy publicznej; przytem jednak należy obalić rozróżnianie „naturalnych“ i „prawych“ dzieci, jest bowiem rzeczą jasną, że jakiekolwiek mogą mieć mniemanie poszczególni ludzie i całe społeczeństwo

o zachowaniu się rodziców, to z tego nie powinna wyniknąć żadna krzywda ani żadne zmniejszenie praw dla dzieci. Ani też niewolnoby było rodzicom, zwłaszcza gdzie ich znają, usuwać się od całkowitej odpowiedzialności za to, że je na świat wydali. Gdyby poczciwcy, którzy taki krzyk wznoszą na to, że ludzie wchodzą w związki małżeńskie bez względu na cały powikłany gwar ustawy, „ponieważ (jak mówią) dobro dzieci leży im na sercu", gdyby ci poczciwcy raz powstali i zażądali zmiany ustawy w tym kierunku, iżby dzieci nieprawe te same otrzymywały prawa, osobiste i te same uprawienia do rodziców co dzieci prawe, to tem lepszyby złożyli dowód swej pieczołowitości względem dzieci, niż całem swojem moralnem oburzeniem, i wówczas też również uczynionoby w istocie coś w interesie prawdziwej moralności.

Jeżeliby chciano zarzucić, że umowy prywatne, albo takie ułatwienia rozwodowe, o jakich wspomniałem, prowadziłyby wprost do tego, żeby ludzie zawierali mnóstwo lekkomyślnych związków i rozwiązywali je w nieskończoność, to należy rozważyć, że odpowiedzialność za odpowiednie wychowanie i utrzymanie dzieci byłoby poważną zaporą dla takiego postępowania. A zresztą przypuszczać, że jakaś część społeczeństwa nabrałaby przekonania o zbawienności takich igraszek miłosnych i małżeńskich, znaczy odmawiać masie społeczeństwa wszelkich zarodków zdrowego rozsądku, i znaczy w ogólności przyjąć za pewnik coś, co w historyi obyczajów, czy to narodów czy też plemion, nigdy się nie wydarzyło.

W końcu zrozumie każdy, że bardzo wielkie zmiany na lepsze w dziedzinie małżeństwa mogą nastąpić tylko równorzędnie z głębokiemi zmianami w całym ustroju społeczeństw; i że same prawne zmiany szczupły zaledwie wywołać mogą postęp. W ogóle nie jest rzeczą prawdopodobną, aby istniejące prawa małżeńskie mogły uledz radykalnym zmianom, jak długo trwa obecny na handlu polegający ustrój społeczny — a małżeństwo spoczywa właśnie na pojęciu prywatnej własności — jakkolwiek do pewnego stopnia mogą uledz modyfikacyom. O wiele jest prawdopodobniejszą rzeczą, że ustawy pozostaną, a praktyka się zmieni i w nowe obyczaje i formy się przyoblecze. Gdy wówczas powstanie nowy ustrój społeczny, którego kontury już w obrębie starego rozpoznać można, wówczas same przez się znikną trudności i straszydła, które dzisiaj stoją na zawadzie wyrobieniu się zdrowych stosunków między jedną płcią a drugą.

I jeszcze musimy zaznaczyć: Jeżeli już absolutną jest koniecznością, aby prawa i obyczaje były swobodniejsze i bardziej ludzkie, to po sprawiedliwości tych dwóch starodawnych tyranów nie można obciążać całą odpowiedzialnością za wszelkie powikłania i gorycze życia płciowego. W tej chwili żyją miliony ludzi, którzy nigdy nie zdołaliby żyć szczęśliwie w małżeństwie, ani nawet wśród najpomyślniejszych warunków, po prostu dlatego, że nie mają w sobie pierwiastków, koniecznych dla zupełnego oddania się drugiej istocie; a jak długo serce ludzkie będzie tem, czem jest, zawsze będą tra-

gedye, które wynikać będą z chęci czy też niechęci zwrócenia wolności drugiej istocie, której, albo ku której miłość wygasła. Jeżeli absolutnie konieczną jest rzeczą, aby prawne i urzędowe interwencye nie komplikowały i sztucznie nie wzmagały tych naturalnych tragedyj, które tak dręczą, ilekroć je widzimy w sztuce, a w życiu rzeczywistem przygnębiają, to przecież nie da się zaprzeczyć, że póki nie nastanie owo wymarzone królewstwo, te naturalne tragedye zawsze istnieć będą i że żadna instytucya małżeńska ani też żadne zniesienie instytucyi od tego nas nie uwolni. Zupełny i niezmienny wstręt dla tego, żeby drugą istotę „trzymać w klatce“, lub żeby „przyjmować miłość“, która nie przychodzi z własnej woli i swobodnie, ten wstręt, który mamy nadzieję, coraz bardziej będzie oznaką ludzkiej miłości, pociągnie również za sobą nieunikniona ilość cierpienia; atoli miłość która z tego wykwitnie, okaże się tak dla jednostki, jak dla całych społeczeństw godną takiego starcia i tak wysoko stanie ponad tamtą miłością jak dziki rajski ptak, który niewołany sam z lasu przylatuje i na rękach nam siada, milszy jest od ptaka schwytanego, któremu obcięliśmy skrzydła i trzymamy w klatce. Bezwątpienia miłość jest ostatnim i najtrudniejszym przedmiotem, którego ludzkość się ma nauczyć; jest w pewnem znaczeniu podstawą wszystkich innych. Może dla narodów nowożytnych nadeszła pora dojrzałości, w której wychodzi się z dzieciństwa i czyni wysiłki, żeby się jej nauczyć.

KRONIKA.

O kobietach czeskich. W wydawnictwie p. Arcta p. t. „Książki dla wszystkich“ wyszła niedawno książeczka pióra p. Antoszki: „Działalność kobiet czeskich i ich udział w odrodzeniu Czech“. Po przeczytaniu tego małego tomku niepodobno oprzeć się uczuciu wielkiego szacunku i podziwu dla tego narodu, który niezmierną energią, poświęceniem jednostek i mrówczą pracą, zrzucił z siebie jarzmo germanizacyjne i tak mocno na nogach stanął. W mrówczej tej, dwuwiekowej przeszło pracy, jak widzimy z omawianej książeczki, wybitną rolę odegrała kobieta czeska.

P. Antoszka, znana już ze swych prac o Czechach w opracowaniu ludowem, daje czytelnikowi najprzód krótki rys dziejów historycznych Czech i roli, jaką odegrały w tych dziejach kobiety aż do XIX stulecia. Dowiadujemy się, że liczne były zastępy kobiet, które czynny brały udział w ruchach religijno-politycznych (nprz. Zofja, druga żona Wacława IV, zwolenniczka Hussa) z jednej strony, i bodaj liczniejsze jeszcze zastępy tych, co cichą pracą kulturalną w owe krwawe i burzliwe czasy nieobliczone zasługi krajowi oddały (nprz. Klara i Marta, mieszczanki z Pragi, spalone na stosie 1526 r.).

W pierwszych czasach historyi Czech jako działaczki otwarcie występują jedynie królowe lub bogate szlachcianki: dopiero od XVI—XVII w. zjawiają się liczne zastępy mieszczanek bogatych, które oddają się działalności przeważnie filantropijnej. Prześladowania wiekowe, ucisk złamały nareszcie na czas jakiś żywotność narodu czeskiego i popadł on w sen, lecz w sen pokrzepiający. Gdy cesarz austryacki, Józef II wydał w r. 1781 patent tolerancyjny, zapewniający wolność wyznania, poruszył się już trochę uśpiony naród, lecz obudził go dopiero dekret tegoż cesarza z r. 1873, narzucający wszystkim szkołom wykład ję-

zyka niemieckiego Była to pierwsza iskra, która zapaliła patryotyczne ognie w sercach prostego ludu czeskiego i szczególniej w sercach wielu znakomitych później kobiet-działaczek.

Nie możemy wyliczać tu wszystkich wspomnianych przez autorkę niewiast, co niezmiernie zasłużyły się w tej pracy nad odrodzeniem narodu, wspomnieć tylko możemy najwybitniejsze osobistości. W tych na pierwszem miejscu postawić należy, zmarłą 1899 r. znaną autorkę, Karolinę Swietlą. (Właściwe nazwisko Joanna Kotlówna-Mażakowa).

W czasach zupełnego zniemczenia Czech, gdy górne warstwy zapomniały rodzinnego języka, Karolina Swietla wiedziała, gdzie zwrócić się trzeba, aby znaleźć ten język przechowany w czystości i wskrzesić go. Zwróciła się do ludu, poznała go gruntownie, znalazła wśród niego niepokalane zachowane narodowe zwyczaje i pamiątki sławnej przeszłości i nawoływać poczęła wszystkich do pracy nad oświatą ludu tego.

Karolina Swietla rozumiała jak wielką rolę w odrodzeniu narodu może i powinna odegrać kobieta, wychowawczyni młodego pokolenia i dlatego też zaczęła pracować nad rozbudzeniem umysłów kobiecych. Koroną tej pracy było utworzenie w 1871 r. stowarzyszenia rękodzielniczego kobiet: „Zenski wyrobni spolek". Jest to szkoła handlowo - przemysłowa dla kobiet, istniejąca do dnia dzisiejszego i rozwijająca się pomyślnie. W pierwszym roku wykładało w niej 22 osoby, a uczennic było 252. Dziś jest przeszło 40 nauczycieli i nauczycielek na 400 uczennic. Przez cały czas trwania szkoła ta dała przeszło 15000 kobiet, wykształcenie i chleb do ręki. Za pierwsze stowarzyszenie kobiet czeskich uważać należy, zawiązane w r. 1852 kółko religijno - filantropijne pod nazwaniem S-tej Ludmiły.

Jednem z dawniejszych też stowarzyszeń był „Czesko - amerykański klub dam w Pradze", założony przez Wojtę Naprstka w 1865 roku.

Nie mniej zasłużoną działaczką była siostra Karoliny Swietli, Zofia Kotlówna-Podlipska, przewodnicząca przez 10 lat „Towarzystwa opieki nad opuszczonemi i zaniedbanemi dziewczętami", wielka przyjaciółka Polaków.

Gdy Karolina Swietla z powodu choroby usunęła się od zarządu „Zenskego Spolku", kierownictwo objęła znana na polu literatury pod pseudonimem Krasnohorskiej, Elipsa Pechowa. Jej staraniem zebrało się 20000 złr. na wybudowanie własnego domu dla stowarzyszenia, co było dużym krokiem naprzód. Gmach został ukończony w 1896 roku.

W celu szerzenia wśród czeskich kobiet dążeń do wyższego wykształcenia, założyła Krasnohorska Stowarzyszenie „Minerwa", celem którego było przygotowanie pewnej liczby kobiet do studjów uniwersyteckich.

Lecz przedtem trzeba było wywalczyć prawo wstępu dla kobiet na uniwersytet w Pradze. Stało się to też dzięki dzielnej Krasnohorskiej, za inicyatywą której podano petycyę do parlamentu, podpisaną przez 5000 kobiet. Po kilku odrzuceniach zwyciężył głos postępu i uniwersytet praski otworzonym został dla kobiet.

W r. 1901 pierwsze doktorki filozofii zdobyły na uniwersytecie w Pradze dyplom: Marya Zdenka Baborowa, Marya Fabjanowa i doktor medycyny Anna Howsakowa.

Przykład Czech wywołał również silny ruch narodowy na Morawach i też wśród kobiet. Dla niszczenia wpływów germanizatorskich, złożyły Morawianki w 1870 r. Stowarzyszenie „Vesna" i kosztem stowarzyszenia otworzyły wzorową szkołę dla dziewcząt w Bernie, chcąc tym sposobem powstrzymać wysyłanie ich na edukacyę do Wiednia.

Kształcąc charakter i umysł, nie zapomniano i o ciele, słusznie twierdząc, że od zdrowia fizycznego matek zależy przyszłość całego narodu, w roku 1869 powstało w Pradze „Stowarzyszenie gimnastyczne pań i panien czeskich" pod kierunkiem Klementyny Hanuszowej na wzór „Sokołów".

Na zjeździe „Sokołów" w Pradze" w 1901 kobiety należące do tego stowarzyszenia brały udział w publicznych ćwiczeniach gi-

mnastycznych. Dość liczne czasopisma omawiają gruntownie sprawy kobiece, że wymienię tylko: „Zena“ „Zenski listy“ pod redakcyą Krasnohorskiej i „Zenski svet“, pod redakcyą Teresy Nowakowej. Ze zjazdów, mających na celu skupianie sił kobiecych, wspomnę zjazd kobiet czeskich w Pradze 1896 r., na którym założono „Centralne towarzystwo kobiet czeskich“ i drugi zjazd również w Pradze w r. 1897., na który zebrało się przeszło 500 delegatek z Czech i Moraw z różnych klas społeczeństwa dla omówienia wspólnych spraw kobiecych.

Oto, co nam opowiada o czeskich kobietach w swej książce p. Antoszka. Dzielny naród, i dzielne kobiety!

Klub robotnic w Berlinie. W Nrze 37 pisma niemieckiego „Sociale Praxis“ znajdujemy artykuł znanej autorki p. S. Salomon p. t. „Arbeiterinnen Klub in Berlin“. Ciekawa ta i pożyteczna instytucya istnieje od 5 lat i dużo już dobrego zdziałała dla samotnych pracownic. Jeden cel klubu tego: Kulturalne podniesienie robotnic berlińskich przez zrzeszenie ich, zapewnienie im opieki i poprawę materyalnego bytu.

Ażeby cel ten osiągnąć, Klub dąży różnemi drogami. Samotnym robotnicom ofiaruje za niskie wynagrodzenie nocleg, co ma wielkie znaczenie moralne, oszczędzając niejednej wielu niebezpieczeństw; za opłatę 20—30 fenigów wydaje dziennie 80—100 obiadów skromnych, lecz posilnych, wreszcie stara się o stworzenie towarzyskiego życia dla robotnic. W tym celu w Klubie urządzane bywają zebrania i zabawy ze śpiewami i deklamacyą a prócz tego ćwiczenie gimnastyczne.

Wprost niepodobna obliczyć dodatniego wpływu jaki podobne instytucye wywierać mogą na robotnice, zdziczałe prawie w ciągłej przeciążającej pracy wśród złych warunków moralnych i hygienicznych.

Po dusznym warstacie lub pracowni lokal Klubu, napełniony wesołemi głosami towarzyszek pracy, bawiących się z życiem, wydać się musi robotnicy ziemią obiecaną, w której choć godzinkę odetchnąć można i doznać choć przez chwilkę radości życia.

Jarmark pracy kobiet. Urządzonym był w Warszawie przez komitet pracy kobiet, pracujących fizycznie. Wśród wielu zbytecznych kramów i kramików, jedynie „Sklep własny uczestniczek kasy“ dał nieco dochodu i pewne wyobrażenie o zbiorowej pracy rękodzielniczej kobiet naszych.

Nauczycielki - cudzoziemki w Cesarstwie Rosyjskiem wedle oświadczenia ministeryum mogą narówni z poddanemi miejscowemi zajmować etatowe posady w średnich zakładach naukowych i korzystać ze wszystkich praw i przywilejów służby państwowej. („Głos“)

Ogólne zebranie Stowarzyszeń robotnic duńskich odbyło się w Kopenhadze, jako drugie z kolei, podczas gdy pierwsze miało miejsce w kwietniu 1901 r. Związek ten ma przedstawicielki we wszystkich krajach i liczy 15 filii. Zebranie to obradowało nad reformą płacy robotnic w różnych gałęziach przemysłu i uzyskało pewne ulgi. („Bluszcz“)

Z pism i książek. *W „Głosie“* p. J. Moszczeńska zamieściła ciekawy artykuł pt. „Kwestya kobieca w chwili obecnej“ (Nr. 25. 26. 27).

W „Bluszczu“ p. dr. K. zamieścił w 27 Nr. „Sport i kobiety“, w którym zaleca ćwiczenia gimnastyczne, lawn tennis i t. p. dla kobiet.

W Nr. 26 artykuł p. Zofii Seidlerowej pt. „Jeszcze słów kilka w kwestyi pracy kobiecej“.

W wydawnictwie „Hygenische Flugschriften“ ukazała się mała książeczka pt. G e s u n d e. „F r a u e n“, którą każdej kobiecie polecić należy. (München Verlag Seitz-Schauer. Cena 60 fenig.).

St. Kelles - Krauz.

NAD RANEM.

Była godzina druga w nocy. Dziewczęta rozeszły się do swoich pokojów i w salonie została tylko Mańka, która usnęła na kanapie. Obok niej w starym, wytartym fotelu drzemała gospodyni, szczupła żydówka z orlim nosem i dużemi oczami w czerwonej, włóczkowej chustce na głowie.

W salonie było zimno. Węgle w żelaznym piecyku wygasły i powietrze rozgrzane przed chwilą aż do upału szybko stygło. Mańka przez sen wtulała się w kąt kanapy, chłód ją budził, ale była już tak zmęczona, że nie miała siły wstać i przejść na dół do swego pokoju.

Około lampy, zawieszonej pośrodku sufitu snuły się niebieskawe, ciężkie smugi dymu. Podłoga była zarzucona niedopałkami papierosów i skórkami od pomarańcz. Na stole, z którego zwieszała się nawpół ściągnięta serweta stało kilka pustych butelek po piwie. W całej kamienicy uciszyło się już wszystko i przez zasłonięte okna najlżejszy szmer nie dolatywał. Nagle z automatu, który stał przy jednej ze ścian, rozległ się głuchy, urywany szczęk. Na ten głos poruszyła się czarna kobieca suknia, rzucona niedbale na kufer i wysunął się z pod niej szary kot z iskrzącemi ślepiami. Otrząsnął się, nasrożył, ogon zadarł do góry i, wyciągając powoli łapy, zeskoczył na podłogę. Wówczas Mańka obudziła się ze snu...

* * *

Ale zaraz przymknęła oczy i spała dalej. Śniły jej się bardzo dziwne rzeczy. Więc najprzód, że leżała w szpitalu, a obok niej na drugiem łóżku Paola, niemka z Biały, która zwaryowała na jesieni zeszłego roku i potem umarła. Mańka grała z nią w karty i rozmawiała o Paryżu. Pewien pan, którego Paola nazywała inżynierem i o którym mówiła, że jest bardzo bogaty opowiadał jej, że w Paryżu dziewczęta i to takie zwykłe jak one zarabiają po ośm tysięcy franków rocznie i powozami jeżdżą. Mańka nie chciała jej wierzyć i zaczęła się kłócić.

Później Paola gdzieś znikła. Mańka została sama i leżała na łóżku, wpatrując się w okna, przez które płynęło na pokój dziwne mleczne światło. Okna były do połowy zasłonięte białemi firankami i tylko przez górne szyby widać było kawałek wypłowiałego nieba. I wydało się Mańce, że już leży tak od niepamiętnych czasów, lata całe i łzy zakręciły się jej w oczach. Ale w tej samej chwili wszedł na salę dawny jej znajomy, porucznik z czarnymi wąsami. Roześmiała się do niego radośnie, wdzięczna za to, że przyszedł, gdy nagle spostrzegła z przerażeniem, że nie miał oczów, tylko dwie puste jamy, jak trupia głowa, którą widywała u pewnego medyka. Mróz ją przeszedł i głosu z gardła wydobyć nie mogła. A porucznik zbliżył się do jej łóżka

i zaczął się rozbierać. Zdjął szablę, powiesił obok łóżka na haku. Potem zdjął mundur. Potem odjął sobie jedną rękę i położył na krześle, potem głowę, którą ostrożnie ustawił na oknie, potem drugą rękę, obie nogi, aż wreszcie zostały w powietrzu tylko piersi, błyszczące, ślizkie, porosłe długimi czarnymi włosami. Piersi te podobne do jakiegoś wielkiego gadu poczęły się ku Mańce nachylać. Wyciągnęła przed siebie ręce, aby je odepchnąć i przeraźliwie krzyknęła.

— Mańka, Mańka, czego ty wrzeszczysz? rozległ się nad nią piskliwy głos gospodyni. Idź spać, dziś już nikt pewno nie przyjdzie.

— Dobrze, zaraz — mruknęła Mańka, przewróciła się na drugi bok i spała dalej.

* * *

Było już parę minut po trzeciej. Gdzieś daleko w pustej ulicy zaturkotała doróżka. Mańka usłyszała ją przez sen, zacisnęła oczy a głowę wtuliła mocniej w kąt kanapy, jakgdyby chcąc się skryć przed tym hałasem, który ją ze snu mógł zbudzić.

Ale ten hałas rósł wciąż. Najoczywiściej doróżka zbliżała się w stronę ich domu. Wreszcie szyby w oknach poczęły drżeć i dzwonić. Doróżka zatrzymała się przed bramą.

— Dwukonka, pomyślała Mańka

I spała dalej.

W podwórzu rozległo się ostre skrzypienie zardzewiałego drutu i stary rozbity dzwonek zabrzęczał kilka razy jękliwie.

Wtedy Mańka otworzyła szeroko oczy. Twarz jej przybrała dziwny wyraz. Był to lęk śmiertelnie znużonego zwierzęcia, któremu spać nie dają.

— Wstawaj Mańka, mruczała gospodyni krzątając się po pokoju.

Ale ona nie wstała. Ogarnęła ją wściekła złość na tych wszystkich pijaków, którzy się włóczą po nocach. Nie ona jedna tu jest. Niech sobie inne dziewczęta pobudzą. Porządni goście nie przychodzą nad ranem...

Oni szli już. Słychać było na schodach zmęczone kroki wielu mężczyzn i głośne śmiechy. Z trzaskiem otwarli drzwi i weszli do pokoju. Za nimi jak cień wsunęła się Franka rozespana i rozczochrana w białym, niedbale zarzuconym na plecy kaftaniku. Usiadła zaraz jednemu z gości na kolanach, objęła go rękami za szyję i zaczęła prosić zakatarzonym głosem.

— Każ kotku dać piwa...

Mańka otworzyła napowrót oczy. Widziała wszystko z trudem, jak przez mgłę, chciało jej się spać, ale ciekawość przemogła w niej zmęczenie. Patrzyła. Goście siedzieli na krzesłach dokoła stołu. Znać było, że i oni są już strasznie zmęczeni. Umilkli i w pokoju znowu było cicho. Po chwili odezwała się Franka.

— Dlaczego wy tak późno przyszli, facety? Czy wy pili?

Nikt jej nie odpowiedział. Jeden z mężczyzn wstał nagle, roześmiał się i rzekł.

— Trzeba obejrzeć tę na kanapie.

I chwiejnym krokiem zbliżył się do Mańki

W niej wówczas starły się dwa przeciwne uczucia — nadziei zarobku i strasznego zmęczenia. Ale tak już była zmęczona, że się nawet pieniędzy wyrzekła.

Przymknęła oczy i odwróciła głowę. Gość usiadł obok niej na kanapie Czuć było silnie od niego alkohol.

— Zbudź no się, księżniczko — zawołał, pociągajac Mańkę za rękaw

Udawała że śpi.

— No, któż to słyszał spać, kiedy tylu ładnych chłopców przyszło! Wstawaj dziewico, pobawimy się trochę.

Nachylił się i zaczął jej rozpinać stanik na piersiach.

— Idź pan, zawołała Mańka, wyrywając mu się z rąk.

— Hi, hi, hi — zapiszczał. Co za temperament; kocham cię, margrabino; podbiłaś moje serce!

I znowu pochylił się nad nią.

— Idź pan — wrzasnęła przeraźliwie Mańka, zrywając się z kanapy. Ładni mi goście, psiakrew, co po nocach się włóczą i tylko dziewczętom spać nie dają, a żaden centa przy duszy nie ma — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

— Daj jej spokój, Edek, ma wrzeszczeć, niech śpi lepiej, odezwał się jeden z mężczyzn siedzących przy stole.

Ale Edek był pijany i opór dziewczyny doprowadził go do pasyi. Poczerwieniał, chwycił ją silnie za obie ręce i, popychając przed siebie, syczał zdyszanym głosem:

— Pijany, kto pijany, ty się grzeczności naucz rozumiesz?

Mańka już nawpół z płaczem usiłowała mu się wyrwać. Siedzący przy stole popowstawali i zbliżyli się do nich.

— Nieróbże awantury, z tobą wiecznie jedno i tosamo — zaczęli uspakajać Edka.

— Puść ją pan, co pan ma za prawo do niej — krzyczała Franka, ujmując się za towarzyszką.

W pokoju zrobiło się gwarno. Na progu ukazały się dwie rozespane dziewczęta. Zbudził je hałas i, nie ubierając się, w koszulach przybiegły zobaczyć co się tu stało. W ślad za nimi wróciła i gospodyni, która w chwilę po przyjściu gości zeszła na dół.

— No, co to tu jest? zapytała podniesionym głosem.

— A to ten pijak awantury robi — odparła z płaczem Mańka. — Idź, idź bo cię zwołam.

I spełniając w tej chwili groźbę obsypała pijanego gościa gradem najstraszniejszych przekleństw.

On pobladł wtedy, zagryzł usta i, nagle puszczając ręce dziewczyny, uderzył ją w twarz.

Wszyscy zaczęli naraz krzyczeć w niebogłosy.

* * *

Trwało to ze dwadzieścia minut. Istny sądny dzień... Potem powoli wrzawa zaczęła się oddalać, przez kilka chwil dolatywał jeszcze z podwórza gwar podniesionych męzkich głosów, aż wreszcie wszystko ucichło.

Dziewczęta próbowały pocieszać Mańkę. Widząc jednak, że się dziewczyna zacięła i, że trudno z nią dojść do ładu, porozchodziły się do swoich pokojów. W salonie znowu została tylko gospodyni i Mańka, która leżąc na kanapie zanosiła się od płaczu.

Gospodyni miała dobre serce. Żal jej się zrobiło tej pokrzywdzonej dziewczyny, usiadła koło niej i zaczęła ją pocieszać.

— Nie płacz, Mańka, wielka rzecz, trochę poboli i przestanie.

Ale Mańka rozpłakała się na to jeszcze głośniej.

— Jakie on ma prawo mnie bić, ten pijak! — powtarzała zduszonym od łez głosem. Jakie on ma prawo!...

Gospodyni umilkła. Przez kilka chwil siedziała nieruchomo, uporczywie wpatrując się w Mańkę. Nagle jakieś dziwne blaski zamigotały w jej zmęczonych oczach. Pochyliła się i obejmując dziewczynę za szyję szepnęła tkliwym, serdecznym głosem, jakiego nikt nigdy od niej nie słyszał:

— Nie płacz, nie płacz Mańka, on tobie...

Zawahała się chwilę.

— On tobie dziesięć reńskich zostawił dokończyła nagle szybko. Ja ci dam, dam ci wszystko, ja już nawet sobie nic nie wezmę, za to że taki wstyd miałam.

Mańka przestała płakać.

— To niechże pani gospodyni da — szepnęła przecierając rękami oczy. Schowała prędko pieniądze za pończochę i znowu zaczęła się skarżyć płaczliwym głosem:

— Widzicie go... Łobuz jeden... Przychodzi po nocy, awantury robi pijany i jeszcze dziewczęta bić będzie, taki..

Zaklęła w straszliwy sposób.

— To ty nie bądź głupia, tłomaczyła jej gospodyni. Uderzył cię, no to i uderzył... Wielka rzecz... każdy pijany awantury robi, od tego się upija, a za to dał ci całe dziesięć reńskich, to tak jakbyś pięciu dobrych gości miała.

Mańka uśmiechnęła się lekko, zaraz jednak twarz jej zasępiła się znowu.

— Żeby to jeszcze jaki znajomy — mruknęła, ale taki łobuz, co pierwszy raz przyszedł. I będzie dziewczęta na honorze obrażał

— Może on teraz zacznie przychodzić do ciebie — pocieszała ją gospodyni, pieniądze musi mieć, dał tak odrazu...

Mańka nic na to nic odpowiedziała.

Nie płakała już. Wstała z kanapy i zbliżyła się do lustra.

Wówczas gospodyni, widząc, że się dziewczyna uspokoiła, zaczęła trochę żałować swego wzruszenia. Miała zamiar te dziesięć reńskich, któremi się gość wykupił, zachować dla siebie i tak jej się to jakoś z ust wyrwało.

— I co ona z temi pieniędzmi zrobi? — myślała, spoglądając niechętnie na Mańkę.

Machnęła ręką i wyszła z salonu.

Mańka została sama. Zbliżyła się do okna i podniosła roletę. Na dworze robiło się już szaro. Mańka patrzyła przed siebie na wielki pusty plac, na którym połyskiwały śród błota kałuże deszczowej wody, uśmiechała się i marzyła. Słowa gospodyni zapadły jej głęboko w serce. Wyobrażała sobie, że ten gość zacznie już do niej stale przychodzić, że ją zacznie kochać. Snuły się przed nią rozkoszne obrazy przyszłego szczęścia. Zamieszkają razem, on weźmie ją do siebie, ma przecież pieniądze, dał dziesięć reńskich... I za co, za to, że ją tam raz uderzył, albo by to inny chciał zapłacić. Szlachcic — myślała z rosnącem zadowoleniem. Najsamprzód zacznie do niej przychodzić coraz częściej i częściej, później będzie o nią zazdrosny, weźmie ją — albo to niemożebne? Ten Gustek, który we France się kocha także ją najsamprzód pobił... Niechby i bił, byle kochał naprawdę, westchnęło coś w jej sercu.

Powoli ogarnęło ją zmęczenie. Zeszła na dół do swego pokoju, rozebrała się i położyła do łóżka. Przez cały czas myślała o nim, marzyła, jak to będą mieszkali razem, jaki on będzie dla niej dobry, jak ją będzie kochał strasznie, szalenie, nad życie. I musiało to jej się przyśnić jeszcze potem, bo śpiąc, uśmiechała się słodko jak dziecko.

LUDWIK EMINOWICZ.

W ogrodach życia tańczący śród mieczy
najcichsze pląsy w zawrotnej suicie,
szatańsko-biały tajemniczy bycie
uśmiechu wieczny, widmo łzy człowieczej

tańcz, choć co chwila ostrze ci złorzeczy,
choć głuchnie z trwogi serc ptaszęce bicie,

choć w tan zwabione myśli tracą życie
i krew siostrzana cieknie z obosieczy,

tańcz, ust mych duszo, choć sztyletów krzyki
ścigają wykwint ruchów twych muzyki,
tańcz, bo pijany wzrok, gdy zwalniasz ruchy

ołowiem spada w paszcz wieczności głuchej,
i stygniesz z bólu, i oto wśród mieczy
łkasz, nędzne, śmieszne widmo łzy człowieczej...

Jam starzec zaczytany w księdze przeźroczystej,
gdzie wszystko jest przenośnią nudy, tem straszniejszą,
że wszystko jest przeszłością jutra teraźniejszą
i woła zbyt spółcześnie: „jestem płacz wieczysty".

I nie wiem, kiedy skończę... Ha... przewracam strony
z niedbałą cierpliwością żalu... Szklane karty
zlewają swe widoki w jeden łzą zatarty
jęk — witraż: ostateczny sąd nad chwil Eony...

I cóż, choć każda karta dzwoni hymn zamęścia
przyrody z majakami śmiechów i nieszczęścia,
gdy zbyt spółcześnie widzem i aktorem jestem.

i wszystko od kołyski aż po firmamenty
jest sfinksem — sobowtórem chwili tej przeklętej,
co była mego pulsu przenajpierwszym giestem...

Rzeko, rzeko przepastna bramo do wieczności,
fale, fale, łachmany szumiącej zasłony,
brzegi odrzwia rzeźbione ręką opatrzności,
otwórzcie się, otwórzcie, jestem tak zmęczony...

otwórzcie się! — w zasłonie szczęściem coś zagrało;
w zgięciach fałdów pulsuje dal zaziemskiej strony,
puśćcie, puśćcie, niech przejdę wszystek: duch i ciało —
otwórzcie się, otwórzcie, jestem tak zmęczony.

RUDYARD KIPLING.

WYŁUDZANIE WIADOMOŚCI.

DOKOŃCZENIE.

Zostałem zatem dopuszczony do ogniska domowego Mc Intosh'a — ja, oraz mój doskonały tytoń. Po za tem nic. Na nieszczęście, nie można było odwiedzać włóczęgi za dnia. Przyjaciele moi, którzy kupują na seraju konie, nie zrozumieliby tego. Zmuszony byłem zatem widywać się z Mc Intosh'em po zachodzie słońca. Śmiał się z tego i mawiał: „Gdybym się cieszył stanowiskiem w towarzystwie, nawet trochę wyższem od pańskiego, nie postępowałbym inaczej. Wielkie nieba! Byłem niegdyś" — mówił to, jak gdyby go zdegradowano ze stanowiska dowodzącego pułkiem — „przecie Oxfordczykiem;" *) Słowa te wyjaśniały mi jego wzmiankę o stajni Karola Symondsa.

„Pan — mówił Mc Intosh cichym głosem — nie byłeś w tem korzystnem położeniu. Sądząc jednak z powierzchowności, nie zdajesz się pan posiadać skłonności do ostrych napojów. Przypuszczam, że z nas obu, jesteś pan z tem szczęśliwszy — lecz nie jestem tego pewny. Jesteś pan — proszę mi wybaczyć, że to mówię właśnie w chwili, kiedy palę pański wyborny tytoń — w przykry sposób nieświadom wielu rzeczy".

Siedzieliśmy obaj na krawędzi łóżka, w chacie bowiem nie było krzeseł, pilnując koni, które pojono na noc, podczas gdy Hinduska przyrządzała obiad. Nie podobał mi się wprawdzie ten protekcyonalny ton włóczęgi, byłem jednak jego gościem w obecnej chwili, jakkolwiek posiadał na sobie tylko podarty wełniany kaftan i parę spodni uszytych z worków. Wyjąwszy fajkę z ust ciągnął dalej poważnym głosem: — „Rozważywszy wszystko, wątpię, czy jesteś pan szczęśliwy. Nie mam tu na myśli pańskiego w najwyższym stopniu lichego wykształcenia klasycznego ani też pańskiego rozpaczliwego dobytku, lecz grubą nieznajomość rzeczy bardziej blizkich pańskiego oka. Ot naprzykład". — Wskazał na kobietę czyszczącą samowar w pobliżu studni, w samym środku seraju. Polewała ona samowar, nabierając wodę miarowymi ruchami. „Różne są sposoby czyszczenia samowarów. Gdybyś pan wiedział, dlaczego ona w swojej robocie postępuje w ten szczególny sposób, zrozumiałbyś pan co myślał Hiszpański Mnich mówiąc:

„Jam jest obrazem trójcy,
Pijąc rozwodniony sok pomarańczowy
Okpiwam trzema haustami Aryanina
Podczas gdy on wysusza swoją porcyę jednym łykiem — "

---

*) wychowankiem oxfordzkiego uniwersytetu. *(Prz. tłum.)*

i wiele innych rzeczy, których pan teraz nie widzi. Ale oto Mrs Mc Intosh przyrządziła obiad. Pójdźmy zatem i zabierzmy się do jedzenia, według zwyczaju jakiego się trzymają krajowcy, o których, mówiąc nawiasem, nic pan nie wiesz".

Kobieta zanurzyła razem z nami swą rękę w półmisku. To mi się nie podobało. Żona powinna czekać zawsze, aż mąż jeść skończy. Mc Intosh usprawiedliwiał się, mówiąc:

„„Jest to angielski przesąd, którego dotychczas nie mogłem się pozbyć. Przytem ona mnie kocha. Za co, nie mogłem tego nigdy zrozumieć. Spotkałem się z nią przed trzema laty w Jullundur i odtąd pozostała już nadal przy mnie. Wierzę jej, że jest moralna i wiem, że umie dobrze gotować".

Pogładził ją po głowie, ona zaś mruknęła coś z zadowolenia. Nie można było patrzeć na nią z przyjemnością. Mc Intosh nie mówił mi nigdy, jakie stanowisko zajmował przed swym upadkiem. W stanie trzeźwym okazywał się uczonym i gentlemanem. Kiedy zaś był pijany, był raczej pierwszym niż drugim. Upijał się zwykle raz w tygodniu, ale na dwa dni. Wówczas kobieta opiekowała się nim, podczas gdy on bredził we wszystkich językach, wyjąwszy we własnym. Jednego dnia wprawdzie począł recytować A t a l a n t ę w K a l y d o n i e, od początku do końca, i akcentował rytm wiersza wybijając nogą od łóżka. Przeważnie jednak bredził w języku greckim i niemieckim. Umysł tego człowieka był prawdziwą torbą, wypełnioną bezużytecznemi rzeczami. Pewnego razu, gdy zaczynał trzeźwieć, powiedział mi, że jestem jedyną rozsądną istotą w tem Piekle, w które on zstąpił — Virgilim wpośród Cieni, mówił, — i że w zamian za mój tytoń, on, zanim umrze, da mi materyały do nowego Piekła, które uczyni mię większym od Danta. Potem zasnął na dercc, a następnie obudził się prawie trzeźwy.

„Człowieku, — rzekł do mnie — gdy zejdziesz na najniższe stopnie upadku, wtedy drobne zajścia, wypadki, które dręczyły cię na wyższych stopniach towarzyskiego życia, nie mają dla ciebie żadnego znaczenia. Ostatniej nocy duch mój przebywał między bogami; nie wątpię jednak, że moje zwierzęce ciało wiło się tu na tem śmietnisku".

„Byłeś pan ohydnie spity, jeżeli pan to miałeś na myśli", powiedziałem mu.

„B y ł e m pijany — plugawie pijany. Ja, com jest synem człowieka, o którego się pan nie pytaj wcale — ja, co byłem kiedyś jednym z kierowników zakładu wychowawczego, którego nawet spiżarni nie oglądałeś pan nigdy. Byłem ohydnie pijany. Zważ pan jednak, jakie nieznaczne ślady zostawiło na mnie to pijaństwo. Nic mi nie dolega. Nawet mniej niż nic, nie czuję bowiem nawet bolu głowy, który mi się dziś słusznie należy. Wyobraź pan sobie natomiast, jak upiorną byłaby moja kara, w wyższem życiu towarzyskiem, jak gorżką byłaby moja pokuta! Wierz mi, mój przyjacielu

z zaniedbanem wykształceniem, najwyższe podobne jest do najniższego — jeżeli przyjmiemy, że każdy stopień jest ostatecznością".

Obrócił się na posłaniu, podparł głowę pięściami i ciągnął dalej:

„Na duszę, którą zatraciłem i na sumienie, które w sobie zabiłem, powiadam ci, że n i e m o g ę czuć! Jestem podobny do bogów, rozumiejących dobro i zło, nietkniętych jednak ani przez jedno ani przez drugie. Czy stan taki godny jest zazdrości, czy nie? Jeżeli człowiek utracił pamięć o „jutrzejszym bólu głowy", to musi już być z nim stanowczo źle. Odpowiedziałem, patrząc na Mc Intosh'a leżącego na derce z włosami przysłaniającymi mu oczy i zsiniałemi ustami, że nie uważam przytępienia za rzecz dobrą.

„Na miłość boską, nie mów mi tego! Powiadam ci, że to jest dobre i godne pozazdroszczenia. Pomyśl, że w tem leżą moje pociechy!"

„Masz-że ich tyle, Mc Intosh'u?

„Zapewne; pańskie zachcianki sarkazmu, który jest zasadniczą bronią kulturalnego człowieka, są niezdarne. Popierwsze: moje naukowe zdobycze, moja klasyczna i literacka wiedza, skalane, być może, niepomiernem pijaństwem – co przypomina mi znowu, że zanim dusza ma dostała się wczorajszej nocy do bogów, sprzedałem Horacego w wydaniu Pickeringa, którego mi pan łaskawie pożyczyłeś. Tandeciarz Ditta Mull ma go u siebie. Dostałem za niego dziesięć a n n a i może być odkupiony za rupię — a ciągle jeszcze będzie nieskończenie wyższy od tego, który był pańską własnością. Powtóre: niegasnące uczucie Mrs. Mc Intosh, najlepszej z żon. Po trzecie: posąg trwalszy od spiżu, który wystawiłem sobie podczas siedmiu lat mojego upadku.

Przerwał, pełzając przez cały pokój, aby się napić wody. Był strasznie zniszczony i osłabiony.

Mówił niekiedy o swym „skarbie" — jakimś dużym majątku, którego był właścicielem — uważałem to jednak za pijackie majaczenie. Był on ubogi i dumny do ostatecznych granic. Zachowanie jego nie było zbyt uprzejme, wiedział jednak wiele o krajowcach, wśród których spędził siedm lat swego życia, skutkiem czego znajomość z nim miała też swą dobrą stronę. Śmiał się często ze Stricklanda, jako z ignoranta — „nieznającego ani Wschodu ani Zachodu" — jak mawiał. Chełpił się najprzód tem, że był wychowankiem oxfordzkiego uniwersytetu, o wyjątkowych i świetnych zdolnościach, co mogło być lub nie być prawdą, nie mogłem bowiem sprawdzić dokładnie jego twierdzeń — a powtóre tem, że „trzymał swą rękę na pulsie miejscowego życia" — co było prawdą. O jego oxfordzkiej kulturze mogłem wnioskować z jego zarozumiałości: mówił ciągle o swem wykształceniu. Jako mahometański f a k i r — jako Mc Intosh Jellaludin — był wszystkiem, czego potrzebowałem do mych celów. Wypalał wiele funtów mego tytoniu i uczył mnie wielu rzeczy godnych poznania; nie chciał jednak przyjmować żadnych datków, nawet wówczas, gdy nadchodziły chłody, kiedy krył swą biedną chudą szyję w ubogi wełniany kaftan. Stawał się wówczas zły i mówił, że go

obrażam i, że nie pójdzie do szpitala. Żył jak zwierzę i chciał umrzeć rozsądnie jak człowiek.

Istotnie, umarł na zapalenie płuc. Owej nocy zaś przed śmiercią, przysłał do mnie zabrudzony bilet z prośbą, aby przyjść do niego i pomódz mu umrzeć.

Hinduska płakała obok przy łożu. Mc Intosh owinięty w wełniane sukno, zbyt był osłabiony, aby czuć, że go okryto futrem. Był ożywiony tylko o tyle, o ile coś dotyczyło jego umysłu, oczy zaś jego płonęły. Zwymyślawszy doktora, który przyszedł ze mną, w tak gwałtowny sposób, że stary kawaler wyszedł oburzony, klął mnie następnie przez parę minut, poczem uspokoił się trochę.

„Oto jest — rzekł — moje dzieło, księga Mc Intosh Jellaludin'a, opowiadająca, co on widział i jak żył, oraz co się zdarzyło jemu i drugim. Jest ona zatem sprawozdaniem z życia, grzechów i śmierci Matki Maturin. Czem dzieło Murzy Murada Ali Bega jest w stosunku do reszty ksiąg, tyczących się życia krajowców, tem będzie moje dzieło w stosunku do dzieła Mirzy Murada Ali Beg'a !". Przyzna każdy, kto zna dzieło Mirzy Murada Ali Beg'a że było to zbyt daleko idące twierdzenie. Papiery te na oko nie szczególną miały wartość. Mc. Intosh jednak, przebierał w nich jak gdyby były banknotami. Następnie zaczął powolnym głosem:

„Mimo wielu braków pańskiego wykształcenia byłeś pan dobrym dla mnie. Będę mówił o pańskim tytoniu, gdy stanę przed obliczem bogów. Winienem panu dużą wdzięczność za różne grzeczności. Brzydzę się jednak jakiemkolwiek zadłużeniem. Skutkiem tego zapisuję panu ten pomnik trwalszy od spiżu — moje jedyne dzieło — nieokrzesane i niedoskonałe w poszczególnych częściach, lecz jakżeż cenne w innych! Zastanawiam się, czy je pan zrozumiesz. Jest to podarek bardziej zaszczytny niż... Ba! gdzież to buja mój umysł? Pokiereszujesz je pan straszliwie. Wyłuszczysz pan te klejnoty które pan zwiesz „Łacińskimi cytatami", ty Filistynie, i będziesz obcinał styl, aby go wtłoczyć w swój własny ohydny żargon. Zapisuję je panu. Ethel... Znowu mój mózg!... Mrs. Mc. Intosh, przyświadczysz pan, że oddaję S a h i b o w i te wszystkie papiery. Nie miałbyś z nich żadnego pożytku. Serce mego serca; i wkładam na pana obowiązek" — tu zwrócił się do mnie — „abyś nie pozwolił zaginąć memu dziełu w obecnej formie. Należy ono bezwarunkowo do pana — historya Mc. Intosh Jellaludin'a która nie jest historyą o Mc. Intosh'u Jellaludinie, lecz historyą człowieka większego niżeli on sam, i daleko większej kobiety. Teraz słuchaj pan! Nie jestem ani szalony ani pijany. Książka ta uczyni cię sławnym!"

Powiedziałem „dziękuję" w chwili, gdy kobieta wręczyła mi zawiniątko.

„Moje jedyne dziecię" rzekł Mc. Intosh z uśmiechem. Słaniał się prawie, mówił jednak mimo to ciągle dalej, dopóki starczyło mu tchu w piersiach

Oczekiwałem końca, wiedząc, że w sześciu wypadkach na dziesięć, człowiek umierający wzywa swej matki. On zwrócił się do mnie i rzekł:

„Musisz powiedzieć w jaki sposób przyszedłeś pan w posiadanie tej książki. Nikt ci nie uwierzy, lecz moje nazwisko przynajmniej żyć będzie. Będziesz się pan z nią obchodził brutalnie, wiem o tem. Niektóre rzeczy będą musiały przepaść, publiczność składa się z waryatów i odętych głupców. Byłem niegdyś ich sługą. Obchodź się pan z nią jednak łagodnie bardzo łagodnie. Jest to wielkie dzieło, za które zapłaciłem siedmiu latami potępienia".

Głos jego przycichł na chwilę, potem zaczął mamrotać jakąś modlitwę w języku greckim. Kobieta zawodziła gorzko. W końcu podniósł się na łożu i rzekł głośno powoli: — „Bez winy, Panie!".

Potem upadł na wznak i nie odzyskał już przytomnożci aż do ostatniej chwili. Hinduska wybiegła na seraj między konie, zanosząc się od płaczu i uderzając się w piersi, albowiem go kochała.

Być może, że ostatnie jego słowa powiedziały, co Mc. Intosh przeszedł niegdyś, lecz oprócz dużego węzła starych papierów zawiniętych w spodnicę nie było w tej izbie nic, coby mogło powiedzieć, kim lub czem był ten człowiek.

Papiery były w straszliwym nieładzie.

Strickland pomógł mi je uporządkować i mówił, że autor ich był albo ostatecznym łgarzem, albo też niezwykle dziwnym człowiekiem. Przypuszczał jednak to pierwsze. W tych dniach będziecie mieli sposobność wyrobienia sobie o nim własnego sądu. Papiery wymagały należytego oczyszczenia i były pełne greckich nonsensów, umieszczonych w nagłówku rozdziałów, które zostały usunięte.

Gdy całość wreszcie zostanie wydaną, może sobie też nie jeden przypomni to opowiadanie, skreślone obecnie jako zastrzeżenie, że to nie ja lecz Mc. Intosh Jellaludin napisał księgę o Matce Maturin.

Nie chciałbym ażeby „Suknia Olbrzyma na mnie się sprawdziła".

Tłom. W. M.

O DOKTRYNERACH.

W ostatnim swoim dramacie Przybyszewski przedstawił człowieka, Kazimierza, z tych, którzy najlepiej nadają się do dramatu, ponieważ mają wszystkie cechy bohaterstwa: nieugięte zdążanie w kierunku wolnej woli. Jest to człowiek, pochodzący z rodu doktrynerów. Kazimierz jest doktrynerem tęsknoty. To może brzmieć dziwacznie, lecz zestawienie takie nie ma w sobie nic niezwykłego. Tacy ludzie są wszędzie, można ich spotkać, przeważnie na scenie lub na kartach książek, protagonistami wielkich bojów. Nie należy jednak brać doktrynerstwa zbyt szeroko, wówczas bowiem okazaćby się mogło, że wszyscy ludzie są doktrynerami. Rozumieć będziemy przez do-

ktrynerów ludzi, których cechuje nie kierunek myślenia lub działania jakiegokolwiek (bo to obojętne), lecz szczególne wpatrzenie się w przyszłość Skutkiem tego i język zupełnie inny, zaklęty w szczelne, tajemnicze formuły. W „Śniegu" Przybyszewskiego, Kazimierz, w pewnem miejscu, powiada: „Przez ciebie dokonała się we mnie moja tęsknota". Ludzie ci, doktrynerzy, zajęci są nieustannie następującem zagadnieniem: jak pogodzić słowa (lub myśli) z czynem (z rzeczywistością). Rzeczywistość jest zatem rzeczą przyszłości, słowa przeszłości Jak zastosować czyn do myśli, jak „przyoblec słowa w kształty". Słowa bowiem kształtem nie są. To stosowanie czasem może się udać — wynika wprawdzie wówczas z innego źródła potęgi — i ma wszelkie cechy demonizmu. U doktrynerów, jak z tego widać, woli nie ma, są postanowienia, na których usługi stawia się energia, czasem zaciętość. Ludzie ci do czegoś dążą, czasem tylko do dążenia. Oto ich zagadka i dzieło. Ludzie ci czegoś chcą, czasem tylko chcenia. Nie chcą realizować dzieł, lecz doktryny, kształty gotowe, twory gotowe chcą... urzeczywistniać. Dzieło ich polega na wychowywaniu się, na kształceniu się, na dojściu do czegoś: do woli, do panowania nad sobą, do charakteru, do dążenia. Można wyobrazić sobie doktrynera, który rzuci kilka szczelnych formuł, oto: „Chcę chcieć. Nie na to, żeby módz potem coś zrobić. Lecz to właśnie będzie mojem dziełem. Doszedłszy do chcenia, wytworzywszy w sobie chcenie, stanę się niepotrzebnym". Nasuwa się wątpliwość: w jaki sposób pojawiła się myśl (słowo), skoro nie było czynu, rzeczywistości, a słowo i myśl są stwierdzeniem tego, co jest. Lecz to u doktrynerów są rzeczy w rozłące, obce, należy je połączyć. Doktryner jest połową człowieka (tak się określa), która zdąża do tego, żeby być całością. Doszedłszy do tego staje się niepotrzebnym — inni po nim pracę wezmą. Doktryner chce przeszczepić w siebie coś, czego nie ma. Na innej dziedzinie wyraża się w ten sposób: słowa, zawierające pewną ilość patosu, powinny taką samą ilością afektu wzburzyć umysł czy duszę. (Pytanie zachodzi, gdzie jest punkt dla porównania ilości). Doktrynerzy, jak widać, zdążają czasem i do „szczerości". Kładą nacisk na treść, która jest ważniejsza od formy. Doktrynerzy wiedzą jak być i co być... powinno. Są to szczytni kapłanie absurdu, nie tego, który mają w sobie, lecz, którego wcale jeszcze... niema

Maeterlinck napisał książkę p. t. „Monna Vanna", w której znajduje się platoński stylem dyalog o miłości. Monna Vanna jest doktrynerką miłości. Doktrynerstwo jej polega na tem, że ponieważ w tylu a tylu wypadkach tak było, więc tak być powinno i t e r a z. Widzimy, jak tu nieznacznie, na tak szerokiej podstawie, wytwarza się przesąd i staje na zawadzie wolności

Stendhal całe niemal życie pisał o miłości (najbardziej zajmujące rzeczy): o *amour passion*; określił dokładnie, na podstawie spostrzeżeń i faktów danych, wszystkie jej cechy i na tej zasadzie konstruował nie ludzi, lecz akty ludzkie, którymi mógł kierować, ludzie bowiem sami nie dali się okiełzać. Z tego punktu widzenia przyjmował lub odrzucał akty, które widział na scenie, w salonie, na ulicy, w książce. Stendhal był doktrynerem miłości. Doktrynerstwo jego polegało na tem, że ponieważ tak było w tylu a tylu wypadkach, więc tak być powinno i t e r a z Oto dogmat w umyśle szerokim, który zkądinąd wie, że każdy wypadek wymaga nowego ustawodawstwa.

Lecz i Monna Vanna i Stendhal byli właściwie teoretykami miłości, dla których określenie rzeczy istniejącej jest celem. U doktrynerów sprawa idzie drogą odwrotną. Teoretyk, artysta, człowiek realizujący dzieło, stosuje słowa do czynów, doktryner chce stosować czyny do słów. Doktrynerzy skutkiem tego używają formułki: urzeczywistniać, spełniać idee: tęsknotę, namiętność, miłość, siebie samego. Chcą zatem kształty gotowe w żywym wykonać materyale. Chcą ujrzeć siebie samych w jakiemś zdarzeniu, w tem, co nazywają rzeczywistością. W tem ich sprzeczność, ich rozdwojenie. Dążą do urzeczywistnienia tego, co już jest urzeczywistnione. Zachodzi w nich sprzeczność między c h c e n i e m a d ą ż e n i e m (nie możnością; nie jest to ów, w czasach

romantyzmu z 1830 roku słynny rozdźwięk wyobrażenia i rzeczywistości). Chcą stosować czyny do słów czyli chcą wcielać (jest to zapożyczone z rzeźby pojęcie, które i tam nie ma żadnego znaczenia). Chcą rzeczy jednej a dążą do drugiej. Chcą stać się wedle swej doktryny, stać się nią samą (Doktryna bowiem, to nie przepisy, które wykonywać trzeba). Tymczasem doktrynerzy właśnie ją wykonywują na sposób reguł. Zachodzi pytanie, jak się do tego biorą, żeby urzeczywistnić się całkiem? Wychodzą z książki, albo schodzą ze sceny, zapominają bowiem, niebaczni, że są tworami artystycznymi, którym nie dano na innym jak na własnym ruszać się gruncie. Przełamują zasadnicze prawo, które ich do życia powołało: prawo Sceniczności. Giną. Mówiąc po doktrynersku, jest to bowiem język zaklęty: doszli do swojej przyszłości Materyał, jakim się posługują, nazywa się Czas. Tkanina nietrwała, podlegająca tysiącznym zmianom i rozdrobnieniom. Doktrynerzy swych doktryn nie przedstawiają, nie wykonywują we właściwym materyale (w języku lub czem innem), lecz zużywają, przeżywają je, jak mówią. Nie są praktyczni

Doktrynerzy zawsze są rozdwojeni: na siebie i na swój obraz. Niechaj obraz dany, który mamy przed sobą, dokona ćwierci obrotu dokoła osi poziomej. Przypuściwszy, że figury były z materyału żywego, otrzymamy naturalne rozmieszczenie architektoniczne, które nazwiemy sceną Poza ramę tej sceny nie wolno żadnej figurze wyjść. Oto jedyne prawo sceniczności. Wszystko inne wolno. Którakolwiek z figur zechce np. „żyć“ i zejdzie ze sceny? Zginie. Albo też zmieni się dekoracya i scena będzie sceną. Konsekwencyj „prawdziwych“ niema Na tej scenie, w tej atmosferze dla tworów języka, dla tworów artystycznych, nie można stosować prawideł zaczerpniętych skądinąd. Inaczej schodzi się ze sceny, ginie się bezpowrotnie.

Możnaby za pierwowzór wszystkich doktrynerów wziąć Herostrata. Był to młodzieniec, który, jak powiada jego biograf, z wielkiem upodobaniem czytywał dzieła Heraklita. Zastanowiło go może najbardziej zdanie: „Najlepsza dusza jest najbardziej oschła i najbardziej płomienna“. W owej chwili znalazł cel swego życia (O tyle należałoby nieznaczne zrobić zastrzeżenie co do jego doktrynerstwa). Pewnego razu — podpalił świątynię Artemidy. Jak widać, była to dusza płomienna, doktrynerska. Postanowił zastosować czyny do słów (które mu były pustym może dźwiękiem), postanowił dorobić słowom... koniec. Niewiadomo, czy Herostrat nie miał wiele innych jeszcze rysów, tu niechaj jeden wystarczy. Co najbardziej w ludzkich aktach uderza, to ich bezgłowość. Zdaje się, jakby nie miały początku, jakby były końcem. Poeci i myśliciele wszystkich czasów starali się dorabiać głowy aktom ludzkim, początki· Dostrzegali przeważnie, że akty ludzkie są nielogiczne, lecz konsekwentne; gdzie zaś urzeczywistniano idee, stosowano czyny do słów, dostrzegali logikę, nie mogli dostrzec konsekwencyi. Doktrynerzy, oni, wychodzą z głowy, stawiają sobie przed oczy twór czy potwór artystyczny i zdążają ku niemu z zaciekłością. Wpadają w bezgłowość, zostawiają ideę w tyle. Myśliciele owi, być może, zauważyli rzecz niemniej zajmującą: że, co głową nazywają, myśl, umyślność, jest niczem innem jeno aktem ludzkim, że więc początkami swymi, i on, sięga dali zamierzchłych, legendarnych. Zauważyli, że myśl, akt ludzki, jest, jak sam człowiek, legendą, która w każdej głowie innym się kształtem układa, którą każda głowa inaczej odczytuje. Czem jest człowiek, bez względu na to odczytywanie, na głowy „widzów“, na własną swoją głowę widza, bo i dla siebie wszak jest legendą, niewiadomo. Jakby obraz.

Doktrynerzy postępują dziwacznie, dorabiają rzeczom koniec, czyli, jak mówią, urzeczywistniają, spełniają. Koniec! Wychodzą z ram obrazu, wychodzą z ram sceny i giną. Niezadowolone swem istnieniem artystycznem, idą czasem figury za wezwaniem poetów, i mięszają się z innymi tworami, żeby je przerażeniem napełniać lub błogością. Lecz to są także obrazy. Dawnymi czasy były obrazy cudowne, to nie ulega

wątpliwości. Są powieści, które o tem mówią; powieści mówią prawdę; obojętną jest rzeczą oczywiście, czy stało się lub istniało to, w co wierzą powieści, wystarczy, że wierzą. Czem te obrazy były w sobie? Dla widza były legendą. Widza nie obchodzi dzieło, widza obchodzi znaczenie dzieła (w tem punkt zaczepienia dla wszystkich doktrynerów-artystów). Tym sposobem się dzieje, że dzieła pędzą życie samotne, odosobnione, niewzruszone i razem, przetworzone na tysiączne istności, wpadają w wir wszystkich innych zdarzeń świata.

Niezwykłą galeryę doktrynerów, męzkich i niewieścich, można znaleźć w dramatach Ibsena, z Heddą Gabler na czele, w dramatach Wyspiańskiego, z Mickiewiczem („Legion"). u Przybyszewskiego, u Berenta (w „Próchnie"). Rzec można, że wszyscy ci szukający, tęskniący, niespokojni, którzy na kartkach książek się ruszają, to doktrynerzy. Mają jedną cechę niemal wszyscy, która jest dramatyczna: brak im poczucia sceniczności. Przedmiot ich poszukiwań, pożądań, przeszłość, przyszłość, znajduje się zawsze poza sceną, poza którą oni życia nie mają. Tam ich spotyka śmierć. Mickiewicz w „Legionie" nieubłaganie wiedzie swych ludzi na śmierć. Kazimierz czyni to samo w „Śniegu". W „Weselu" i w „Wyzwoleniu" może zdają sobie sprawę, że są tworami artystycznymi i dlatego stają u samego progu? Przed Konradem autor nawet wszystkie drzwi zamyka?

Doktrynerzy zatem dorabiają koniec do tego, co jest końcem samo w sobie, jak myśliciele dorabiają początek do tego, co jest początkiem samo w sobie. Jaka, między nimi, różnica? Prawdopodobnie żadna. Są tragiczni. Nie dają rzeczom być tem, czem są, lecz każą im, jak być powinny. Doktryner jest mistrzem w rzeźbieniu wszelakich tworów, doktryn, którym jednak żyć nie daje spokojnie One żyją i tak: niezależnie od niego, cofają się gdzieś w głąb, w dal, w ciemność: są zwierciadłami, w których wszystko się odbija i przemija bez śladu. Gdzieś u Szekspira znajduje się zdanie, że poeta stawia przyrodzie przed oczy zwierciadło. Lecz przyroda jest zwierciadłem, i ona, i dzieła ludzkie, gładką taflą, na której wszystko się odbija i przemija bez śladu. Zwierciadło jest dziewicze na zawsze. Przyroda „historyczna" jest inna jak przyroda „poetyczna" i inna jak przyroda „prawdziwa". Jest żywą tajemnicą, jak wszystkie obrazy i wszystkie stworzenia.

Błąd doktrynerów polega na pomięszaniu atmosfery „życia i sztuki". Co dla doktrynera jest sztuką, osiąga swoją doskonałość w „życiu". Czasem i naodwrót. Zawsze to są dwie rzeczy obce sobie wzajemnie. Doktryner chce doskonałości, oczywiście tego, co nazywa doskonałością. Lecz dąży do tego, co niedoskonałem jest z konieczności. (Doskonałość, to Sztuka). Dzieło swoje uważa zawsze za środek nie za cel: do czego niewiadomo jeszcze. Tak między innymi Konrad w „Wyzwoleniu", ten doktryner romantyk, woła: chcę stworzyć piękno nieodwołalne, przed którem, jak przed taranem, niczby się nie ostało. Niewiadomo np. dlaczego piękno ma być taranem, dlaczego ma walić, zwłaszcza, że taranem nie jest. Doktryner nie zostawia wolności swym tworom, on im pragnie wyżłobić drogę w umysłach ludzkich, każe im być czem innem. (Już Konrad Mickiewicza woła: „Daj mi rząd dusz"). W jakim stosunku do takich ustrojów pozostaje pojęcie „Czynu". To widoczna: jestto przedziwna roślina, twór, który żadnych konsekwencyj nie pociąga za sobą, nie dla dzieła, jest rzeczą bezinteresowną, jest celem sam w sobie, wybuchem entuzyazmu, który jest jedyną Rzeczywistością. Dlatego Konrad nie da się określić żadnem pojęciem zbiorowem (doktryner, romantyk): Każda formułka jest dlań za ciasna i za szeroka. Można go z każdej rozpatrywać, lecz nie ostatecznie. Jest obecnością ciągłą, podobny do obrazów niejednego mistrza, ciągle ruchem ujętych, a przecież nieruchomych. Jest całym narodem.

Nie trzeba zaś sądzić, jakoby o owym taranie mówił autor, nie Konrad. To pomięszanie osób autora i utworu zdarza się często. Nie uniknął go nawet p. Irzykowski, autor „Pałuby", tak bardzo w tych sprawach ostrożny. Konrad w swojej

atmosferze wszystko mówić i robić może, ponieważ jest kreacyą artystyczną i ponieważ jest (tu) doktrynerem, który dzieło artystyczne swoje chciałby wykonać w „materyale żywym". Wpadł na materyał aktorski, lecz to była pomyłka?! Doktrynerzy chcą wykonywać dzieła w materyale żywym. To najpierw jest niemożliwe, a powtóre jest nieartystyczne. Robią się z tego „żywe obrazy". Nie idzie tu o wykonanie dzieła zapomocą materyału żywego, — więc np. wojna lub rewolucya lub jakiekolwiek inne działanie, — lecz o wykonanie dzieła w materyale żywym. Na rozgraniczenie tych dziedzin różnych baczyć zawsze trzeba.

Doktryner, który jest artystą, więc poetą, malarzem itd. uważa treść za rzecz naczelną, ponieważ dla niego treść i forma, to dwie rzeczy różne. Zdarzy się, że malarz ma treść poetycką, poeta malarską. Nie idzie o to, jak mówi, lecz, co mówi. Sięga więc poza dzieło (poza.. scenę?), w umysły ludzkie, idzie o to, czem dzieło ma być dla drugich (tymi drugimi może być i on sam). On chce nie dzieła, lecz czego innego, podsuwa dziełu znaczenie Dzieło staje się legendą, alegoryą, którą więc każdy na swój sposób odczytać może. Tem już dla umysłów ludzkich i tak jest nieuchronnie. Treść, powiada doktryner, obowiązuje nietylko figury, które na scenie, na obrazie, na książce się poruszają, lecz wszystkich innych, którzy się z dziełem stykają. Jak wiadomo wszelka alegoryczność polega na podkreślaniu widza. Otóż widz jest nieobliczalny; niewiadomo nigdy, jak się do dzieła odniesie, prawdopodobnie zatraci dzieło, które w swojem zamknięciu szczelnie nadal stać będzie, szydercze może, pobłażliwie, dziewicze zawsze. Słowo rzucone może płomienie wzniecić, a człowiek tego słowa?. Kto jest? Jaki? Zagadka.

W rozmowie można czasem słyszeć, że widz musi wierzyć w to, co mu artysta pokaże. Jest możliwe, że widz wierzy, i jest możliwe, że artysta go do tego chce zmuszać i zmusza Tak np. gdy artysta przedstawia wizyę, widz musi wierzyć, że to wizya. Zobaczmy. Do wizyi, jak wiadomo, trzeba nadewszystko wizyonera i — i niczego więcej. Co on widzi, jest niemal zupełnie obojętne dla dzieła, jakkolwiek może być zaznaczone. Obraz wizyi jest wszak obrazem wizyonera, figura ludzka na obrazie lub w książce lub na scenie ma widzieć, nie zaś widz ma widzieć wizyę. Poeta czasem pokazuje przedmiot widzenia (potrzeba zachodzi głównie na scenie: np. Hamlet lub Makbet. Wszak nie o to chyba idzie, aby widz w wizyę wierzył, lecz, żeby Hamlet lub Makbet wierzył. Jeżeli o widzu w ogóle mowa, to wierzy ów widz w wiarę Hamleta. Duch jest zjawieniem dla Hamleta, dla Makbeta, jak rycerz Piotr dla króla Bolesława Śmiałego i dla niewiernej żony. Trzeba rozważać dzieło samo w sobie). W kościele Franciszkanów w Krakowie jest witraż Wyspiańskiego, na którym św. Franciszek jest niewątpliwie wizyonerem. Nigdy zaś tym wizyonerem nie jest widz, ani autor. Trzeba wolność zostawić dziełu Patrząc na ten witraż, wie każdy, że ten człowiek tylko mógł napisać *Laudes creaturarum* i *Fioretti* i mógł widzieć cheruba, który nad nim się unosi. Poeta liryczny, dający widzenia, nie interesuje chyba osobno swoim przedmiotem, osobno swoją liryką, chociażby przepastne nawet Prawdy ukazywał. Lecz swojem wizyonerstwem. Czytając, widzieć można postać wizyonera. Nie jest przeszkodą, ani niczem osobnem, sam przedmiot. Podobnie rzecz się ma z wszelką „ideowością", która dzieło zostawia w dalach: wszystka ta ideowość obowiązuje figury obrazu, książki, dramatu, nie pociąga za sobą konsekwencyi innych nad artystyczne: wpływa na ułożenie się, na działanie i na postępowanie, zachowanie się figur na obrazie, w książce i t. d. — Figury zaś wzajemnie na nią wpływają. Są to rzeczy nierozdzielne.

Więcej szczegółów w artykułach następnych.

St. Lack.

Za redakcyę odpowiedzialna: Marya Turzyma. — Drukarnia Józefa Fischera w Krakowie.